

## Moje szachy

### Początki

Zestaw do gry w szachy zobaczyłem po raz pierwszy na koloniach w Rabce Zdroju. Było to na tyle dawno temu, że w międzyczasie zmieniło się prawie wszystko: Rabka, moje rozumienie szachów, ustrój państwowy i ilość włosów na głowie. Pozostało zainteresowanie grą, które, jak to w życiu bywa, miało swoje lepsze i gorsze chwile. Na wspomnianych koloniach zostałem pouczony co do zasad ruchu bierok szachowych. Ze zrozumieniem ich nie miałem większego trudu, zatem po opanowaniu sposobu popychania figurek, pomyślałem że pojąłem całą dostępną wiedzę szachową. Mój pierwszy nauczyciel szachów, czyli współtowarzysz z pokoju w Rabce wprowadził mnie w arkana przedziwnego otwarcia, jakim było 1.a4 a5 2.Wa3 z dalszym 3.We3. Nie, nie, to nie pomyłka w pisaniu, tak wyglądało nasze pierwsze otwarcie szachowe. Według któregoś z dawnych numerów Magazynu Szachista, debiut ten można zaliczyć do otwarć Wooloomooloo, albo czegoś co tą nazwę przypomina. Jeżeli pomyliłem się w tej skomplikowanej składni (bo sam debiut wydawał się nam śmiesznie prosty), to proszę o poprawienie mnie. Ale za czasów kolonii w Rabce nie wiedzieliśmy, że rozgrywamy otwarcie o którym będą potem pisać artykuły.

Po powrocie do domu, za zgromadzone kieszonkowe nabyłem drogą kupna mój pierwszy zestaw szachowy. Mam go do dzisiaj i nadal korzystam z niego, gdyż darzę go wielkim sentymentem. Są to niewielkie, składane, czarno-białe szachy magnetyczne. Zestaw te dojrzałem w pobliskim sklepie, łączącym cechy sklepu papierniczego i sportowego. Moje szachy przetrwały burze dziejowe (i moje też), sklep niestety nie. Przez wiele lat zestaw ten służył mi do gry oraz do analizowania pozycji z nieistniejącego już czasopisma pt. „Szachy”. Wtedy nie wiedziałem że to co robię, nazywa się analizą. Ja po prostu ustawiałem pozycje, powtarzałem posunięcia z czasopisma i usiłowałem zrozumieć ich sens. Z tym nie było zbyt dobrze. Przyczyną był brak wiedzy o czymś więcej niż ruchy bierok. Choć z biegiem czasu moje rozumienie gry było coraz lepsze, to jednak z perspektywy czasu widzę, iż Fischerem nie byłem. Zresztą nawet nie wiedziałem kto to jest. Nikt z rodziny nie grał w szachy, więc nie mogłem liczyć na naukę w domu. O czymś takim jak książki szachowe nie miałem najmniejszego pojęcia. Za to pewną pomocą były pojedyncze egzemplarze „Szachów”, potem „Szachisty”. To były czasy, gdy arcymistrzów nie liczyło się jak obecnie w tysiącach, i dlatego w czasopismach opisywano głównie osiągnięcia turniejowe szachistów z tytułami niższymi niż arcymistrz. Dużo też było relacji o osobach z różnymi kategoriami szachowymi. W „Szachach” prezentowano różne końcówki, z pośród których usiłowałem zrozumieć zakończenia pionkowe. Bez większego sukcesu.

Jakiś czas później, w nieistniejącej już księgarni w mojej dzielnicy (w której padają kolejne sklepy) zauważyłem książkę o bardzo dziwnym tytule, o ile dobrze pamiętam, „Zakończenia wieżowe”. Prawie na pewno była to pozycja Gawlikowskiego. Wziąłem ją do ręki ale po otwarciu stwierdziłem, że moje rozumienie tekstu jest takie samo gdy trzymam książkę prawidłowo, jak i wtedy gdy trzymam ją do góry nogami. Był to dla mnie sygnał, iż należy ją odłożyć na półkę i wybrać coś lżejszego, np. „Przygody Tomka Sawyera”. Zanim po latach zlikwidowano księgarnię, zdołałem w niej kupić krótką rozprawę debiutową Anatolija Karpowa pt. „Gramy obroną Caro-Kann”. Z nazwiskiem tego arcymistrza spotkałem się dwukrotnie, podczas jego meczów z Korcznojem i Kasparowem. Meczów z Korcznojem nie pamiętam, natomiast mówiła mi o nich moja mama, wspominając o panującej wówczas atmosferze skandalu. Za to podczas pierwszych meczów Karpowa z Kasparowem,

notorycznie myliłem obu arcymistrzów. Wszak obaj mają nazwiska na „K”. Ale rozróżniałem ich w ten sposób, iż ten z ulizaną fryzurą reprezentuje „stare, skostniałe”, a ten z kędzierzawą – „nowe, świeży powiew”. Granymi partiami nie interesowałem się zbytnio, gdyż ich poziom był o eony dalej (albo wyżej) niż moje żalosne rozumienie gry. Te zaś stopniowo pogłębiałem przy pomocy programu komputerowego ze stajni Electronic Arts, pt. „Kasparov’s Gambit” <http://chessprogramming.wikispaces.com/Kasparov's+Gambit>

Ach, gdzież te czasy, gdy rozbudowane programy zajmowały miejsce na kilku dyskietkach o mikroskopijnej pojemności, a nie na płytach CD czy DVD! „Kasparov’s Gambit” był naprawdę niezłym programem, m.in. wyposażonym w ciekawe „help-y” wprowadzające użytkownika w podstawy debiutów oraz w odpowiedzi do gry, udzielane przez samego Kasparowa (w postaci nagranych sekwencji filmowych). Program ten pomógł mi w podniesieniu mojego poziomu gry, choć i tak on ciągle był zbyt niski. Za to już z większym wyczuciem i zrozumieniem podchodziłem do podręczników szachowych, których tytułów niestety nie pamiętam. W tamtych czasach grę zazwyczaj rozpoczynałem debiutem centralnym. Wydawał mi się taki prosty i logiczny. Do dzisiaj darzę go sentymentem, podobnie jak mój pierwszy zestaw szachowy. Mój ówczesny sposób gry nie był zbyt skomplikowany, przypominał szachy romantyczne, nastawione na atak na króla. Całą energię wkładałem w grę środkową, natomiast o debiutach i końcówkach miałem jedynie blade, i to bardzo blade pojęcie.

## Złoty wiek

Przełom nastąpił po podjęciu nauki przez Internet. Przeszukiwałem różne strony w nadziei znalezienia lekcji czy kursów gry w szachy, gdyż moją ambicją było podniesienie poziomu rozumienia tej gry. Dostyc szybko trafiłem na stronę mm Aleksandra Czerwońskiego, który oferował kurs szachów prowadzony za pomocą poczty elektronicznej. Bez wahania zapisałem się, i rozpocząłem naukę. Moje wrażenia z tego kursu szczegółowo opisałem w artykule <http://www.konikowski.net/ciek11.php#mojkurs> do którego zapraszam zainteresowanych czytelników. Okres ten charakteryzował się dosyć szybkim zwiększeniem mojej siły gry, i co było dla mnie ważne – lepszym rozumieniem szachów i ich zawłości. Oprócz udziału w kursie internetowym, samodzielnie doksztalałem się z podręczników, a grę szlifowałem w partiach korespondencyjnych granych za pomocą sms-ów, oraz w partiach bezpośrednich ze znajomym w Sopocie, „u Hrabiego”. Te trzy aspekty wymagają wyjaśnienia. Książką szachową która zadziałała na mnie jak grom z jasnego nieba, była pozycja Kotowa „Graj jak arcymistrz”. Publikacja ta otworzyła mi oczy na wiele problemów gry środkowej i oceny pozycyjnej. Opisałem to w artykule <http://www.blog.konikowski.net/2011/11/28/polemika-krzysztofa-kledzika-4/> w akapicie poświęconym strategii. Sms-owe partie korespondencyjne wykorzystywałem wraz z mm Czerwońskim jako materiał do analiz i pracy nad moją siłą gry.

Natomiast pod nazwą „u Hrabiego” kryje się kawiarnia, znajdująca się w zabytkowym Dworku Sierakowskich, w Sopocie. Oprócz kawiarni i Towarzystwa Przyjaciół Sopotu, w tymże dworku rezyduje leniwy i z lekka otyły, ale niesłychanie sympatyczny kot, zwany przez bywalców „hrabią”. Właśnie od niego nazwę przejęła kawiarnia. Gwoli ścisłości należy dodać, że w szachy grywałem nie w samej kawiarni, lecz w przyległych do niej pokojach, w głębi Dworku Sierakowskich. W przerwach, w celu zwiększenia poziomu glukozy we krwi i dochodów kawiarni, na stole obok szachownicy pojawiała się herbata i wspaniały sernik domowej roboty. Palce lizać, partie analizować. Nasze cotygodniowe spotkania przy szachownicy rozpoczynające się w punktualnie o godzinie 17 w każdy piątek, były dobrym

poligonem doświadczalnym do testowania moich postępów na kursie u mm Czerwońskiego. Pamiętam jak dziś, że podczas pierwszego spotkania, z powodu tremy, dosyć szybko podstawiłem hetmana. Było mi z tego powodu strasznie wstyd, choć teraz widzę iż niepotrzebnie. Z biegiem czasu grałem coraz lepiej, cały czas chłonąc nauki zarówno od Czerwońskiego, jak i od mojego znajomego vis à vis szachownicy. Tenże grał z siłą „jedyńki”, a więc całkiem przyzwoicie. Mój przeciwnik nauczył mnie dobrego podejścia do gry, czyli notowania wykonywanych posunięć, po zakończeniu partii – analizowania jej. Prawie na każde spotkanie przynosiliśmy pojedyncze egzemplarze różnych czasopism szachowych, czasami starych „Szachów” albo „Szachistę”, ewentualnie współczesne numery „Magazynu Szachista”. Wybieraliśmy z nich różne ciekawe pozycje, które wzajemnie analizowaliśmy. Eh, dobre czasy...

W tamtych latach z chęcią bywałem jako kibic na festiwalach szachowych, odbywających się latem w Poznaniu, na terenie Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych. Miałem tam okazję poznać, choć w „biegu”, Andrzeja Filipowicza, a także przyjrzeć się grze Marleny Chlost, Klaudiusza Urbana, Patryka Łagowskiego, Marcina Szeląga, Piotra Bieluszewskiego oraz Wadima Szyszki. Pamiętam dwa drobne incydenty podczas jednego z tamtejszych turniejów. Z bliżej nieznanych mi przyczyn, wraz ze mną po sali gry chodził niemłody już pan, niezła gaduła, który wyraźnie postawił sobie za punkt honoru objaśnianie mi zawiłości pozycji na tamtejszych szachownicach. Moje delikatne próby odizolowania się od „mentora” nie przyniosły najmniejszego rezultatu. Jego głos stawał się coraz głośniejszy, prawdopodobnie ze względu na stopień zaangażowania w dzieło mentorskie. Męczący pan usiłował mówić szeptem, który jednak był dobrze słyszalny na co najmniej połowie sali. W pewnej chwili, wykorzystując zafrasowanie męczącego pana i jego zaangażowanie we własny słowotok, oddaliłem się od niego. Zrobiłem to w ostatnim momencie, gdyż sekundę później nastąpił „wybuch” Piotra Bieluszewskiego. Znad szachownicy w stronę męczącego pana poleciała krótka ale ostra, i nie znosząca sprzeciwu reprimenda. Nic dziwnego, wszak Bieluszewski jest żołnierzem i ostre rozkazy z pewnością nie są mu obce.

Druga sytuacja, nieco bardziej wesoła, miała miejsce również na tym turnieju. Tym razem egzekutorem był Waldemar Kopydłowski, pełniący obowiązki sędziego. W pewnym momencie jednemu z kibiców zadzwonił telefon. Nie speszony tym faktem, rzeczony osobnik dobył aparat z kieszeni i zaczął rozmowę. W Kopydłowskiego jakby piorun strzelił. Właściciel telefonu widząc iż solidnej postury sędziego przechodzi do ataku, spieszenie oddalił się, uciekając na dolne piętro schodami. Jednakże dla Kopydłowskiego było to za mało, gdyż puścił się w pogoń za winowajcą, długo goniąc go co sił po schodach. Biedny telefoniarz, jeżeli trafił w ręce sędziego.

## Zmierzch

Po zakończeniu, a właściwie przerwaniu kursu u mm Czerwońskiego, poświęciłem się dalszej, intensywnej nauce szachów z różnych dostępnych podręczników <http://www.blog.konikowski.net/2011/11/28/polemika-krzysztofa-kledzika-4/>. Początkowo szło mi całkiem nieźle. W międzyczasie zaprzestałem regularnych spotkań szachowych w Dworku Sierakowskich. Wstępem do upadku naszego małego klubu była propozycja powiększenia jego składu o dwie-trzy osoby chętne do gry. Takowe znalazły się, ale wniosły do naszego grona zgubną chęć zmiany jego statusu na typowo kawiarniany, ot takie luźne spotkania towarzyskie. Nie wróżyło to dobrze, zresztą wkrótce pojawiły się dąsy o terminy i godziny spotkań, o ich formę. Wobec panującego rozkładu „moralności szachowej

i sportowej”, zrezygnowałem z uczestnictwa w czymś, co nie rokowało dobrze na przyszłość. Nasz klubik upadł.

Krach nadszedł niedługo potem. Pomimo intensywnej pracy nad szachami doszedłem do miejsca, z którego nie mogłem już posunąć się do przodu ani o jedno pole szachowe. Tłukłem głową w mur szachowy, w pionkowego „stonewall-a”, który ani drgnął. Moje rozumienie szachów, w tym debiutów, gry środkowej i końcówek, zatrzymało się. Miałem problemy z prawidłowym rozegranie prostych pionkówek, nie widziałem kombinacji ani właściwych sposobów kontynuacji gry. Do tego dołożyły się inne problemy, na które nie miałem wpływu. Dodatkowo zrezygnowałem z moderowania forum dyskusyjnego Magazynu Szachista, co opisałem w <http://www.blog.konikowski.net/2011/10/08/polemika-krzysztofa-kledzika-2/> . Szarpanie się z obraźliwymi wpisami, które pojawiały się bez przerwy, było już ponad moje siły. Szachy odstawiłem na kilka lat. W tym czasie nie zaglądnąłem do żadnej z książek szachowych, nie zagrałem ani jednej partii, mój radziecki zegar „Jantar” stanął, a szachownica zrobiła się sina od kurzu.

### **Co dalej?**

Po kilku latach powróciłem do szachów, choć zmieniłem swoje podejście do gry. Obecnie nie gram już normalnych partii, najwyżej jakieś pojedyncze ze Shredderem (Fritza nie lubię). Przeglądam książki poświęcone strategii szachowej, i ciągle mam nadzieję iż kiedyś uda mi się je dokładnie przestudiować. W planach mam też gruntowne zapoznanie się z twórczością Karpowa i Kramnika, choć wiele partii tego pierwszego już przestudiowałem. Na mojej półce leży kilka zbiorów partii obu arcymistrzów, a ja zastanawiam się, kiedy będę miał czas na ich lekturę. Od dłuższego czasu łamię sobie głowę zawiłościami partii szachowych, granych w trakcie pięciu meczów pomiędzy Karpowem i Kasparowem. To ciekawy i bogaty materiał szachowy, choć trudny. Niestety, nie starcza mi czasu na wszystko, co bym chciał osiągnąć na polu szachowym. Ciągle mam nieprzyjemne uczucie, że czas ucieka, a ja nie rozwijam się szachowo. Ale może już osiągnąłem kres swoich możliwości na tym polu? Przypomniał mi się Kubuś Puchatek, czyli miś o „bardzo małym rozumku”. A jeżeli jest tu jakieś podobieństwo i mój rozumek szachowy również nie jest zbyt duży? W końcu moje imię też zostało zaczerpnięte z tego zbioru bajek.

*Krzysztof Kledzik*